

Jadę busem

27 marca 2012

Wsiadam do busa w Krakowie, wysiadam na prowincji, w miasteczku czy na wsi. Wewnątrz, jeśli jest tłoczono, nie pachnie zbyt zachęcająco, co zrozumiałe, bo ludzie są zmęczeni dniem, sfatygowani Polską, dźwigają torby i reklamówki, są po pracy, albo po dniu szukania pracy, lub po wielu godzinach załatwiania czegoś w urzędach, po wizytach w szpitalach, po kolejkach u doktora, albo wracają z uczelni, z imprezy, z łażenia po galeriach handlowych, z szukania okazji na lepsze życie. Jest w nich strach o przyszłość, wiara, nadzieja i miłość, troski rodzinne, zarzewia chorób, albo spustoszenia chorobą, do tego emocje nasze powszednie i jakiś urywek programu telewizyjnego, tłący się z tyłu głowy, czyjeś słowa i gesty, dotyki, obojętność, tkliwość. Gdy się na tak niewielkim obszarze, gdy bus jest przegrzany, wilgotny, lepki od człowieczeństwa, zgromadzi tyle osób, trudno, żeby pachniało fiołkami. I tak jest w porządku.

W busie gra zwykle Zetka, albo RMF, lub słyszeć kierowców klnących na siebie przez CB radio. Nie zawsze mogę zdzierżyć te odgłosy, wtedy zakładam słuchawki. A czasem słucham rozmów, czytam, patrzę przez okno na tę naszą III RP na żywo, nie zapośredniczoną przez media, nie poddaną obróbce, nie podawaną mi do wierzenia przez hochsztaplerów i speców od cudzych myśli.

W busie jest dobrze, apolitycznie. Przynajmniej z pozoru, ale to mi wystarcza. Jeśli są tu jacyś katoliccy neoliberalowie, feministki liberalne czy socjały nudne i ponure, ukryta opcja niemiecka, „żydokomuna”, „prawdziwki”, aktywny elektorat PO, PiS, RP czy SLD, to nic o tym nie wiem. Nie ma też znajomych z facebooka, udzielających się w mediach, wykładających na uczelniach, opiniotwórczych, znanych i cytowanych. Ot, widać jakichś ludzi: mają twarze, nie mają nazwisk, a przecież często jest odwrotnie: ludzie mają nazwiska, ale są bez

twarży. Ważne zresztą, że w busie ludzi widać. Jeden pan śpi ciężko rozwalony na siedzeniu, kawał chłopca, z sumiastym ryżym wąsem, z wielkimi, czerwonymi dłońmi, chropowatymi i napuchniętymi. Kobieta w brązowej kurtce i w niebieskich, spłowiałych džinsach, w rozmywającym się makijażu i z przetłuszczonymi włosami, trzyma na rękach dziecko, różowe, pulchne, w różnokolorowej czapeczce i ze smarkiem u nosa. Młodzi udają, że ich tu nie ma, pilnie stukając w klawiaturę smartfonów, a kolor smartfonów jest czerwony, bo na nich azjatycka krew. Młodzieniec z lekko przygłupią twarzą opowiada coś komuś przez telefon polszczyzną tak połamana, jakby sto lat i więcej żył pod wszystkimi zaborami na raz i żadna go Siłaczka, żaden doktor Piotr nie spotkał, nie pochylił się nad nim, ani żaden mu wielki pan czy dobra pani nie dali skrzypiec, stypendium i stancji.

Za szybą domy polskie, a to szpetne, a to całkiem ładne, a na bardzo wielu nieodzowny talerz cyfrowego Polsatu lub innego szanownego nadawcy, karmiącego masę podobną sieczką informacyjną i rozrywkową. Bo polska prowincja, którą naiwniacy albo cynicy podejrzewają o jakieś niezwykle pokłady głęboko skrywanej, nieskażonej polskości, wcale się od miast wiele nie różni swoją popkulturą.

Jadę busem, wstaje pani, narzekająca wcześniej towarzysze podróży, że musi nieczystości wylewać na drogę. Wysiada, kusa kurtka odsłania zielony, plastikowy pasek u spodni, buty lekko przybrudzone. Co zrobić, że zbrudzone? Marzec polski chłapie z dziur w asfalcie, z chodników nierównych, chłapie błotem i uderza nagle rozjechanym przez samochody odłamkiem chodnika, a chodzić trzeba, wychodzić trzeba za swoim, nie każdy Polak przecież zmieści się do inteligentnego biurowca, do full wypas bryki, którą podjeżdża wprost pod ganek wyczyszczony przez służbę. Nie wszędzie może być tak czysto, jak na ruchomych schodach w „Galerii Krakowskiej”, na których młode dziewczyny pokazują, że jeszcze są zwycięskie i świat przed nimi, choć w zębach już ubytki, bo jednak łatwiej o ciuch z wyprzedaży, niż

o regularne wizyty u dentysty... Ale nie o tym, nie o tym była mowa.

Jadę busem do wieczoru na wsi, do księżycy w nocy. Jadę z Krakowa, z ponad dziesięciu lat życia, na wieś, czyli robię wycieczkę w głąb siebie, do kilkunastu lat dzieciństwa i dorastania. To inna wieś, wieczór inny i księżyc inny, inny też ja. I tu najważniejsze. Bo jeśli bliska jest mi wieś, to nie dlatego, że jest ostoją jakichś niezwykłych cnót, szlachetności, pobożności, nieskazitelnej chłopskiej mądrości, polskości a la PiS, jak to sobie wyobraża, albo podaje do wierzenia pewien publicysta, ale dlatego, że stamtąd jestem, że stamtąd są moje pierwsze sny, złudzenia i marzenia, prawdy o ludziach i świecie; bo jeśli bliska jest mi prowincja, to dlatego, że jest częścią prawdy o Polsce, jeszcze jedną jej bliźną, historiami złymi i dobrymi. A że bywa szmatława, że ludzie potrafią być chciwi, okrutni, głupi, że znam jak zły szeląg ich przywary, to cóż – to życie, nie ma co go ani zbytnio przeklinać, ani malować sentymentalną pozłotką. Ale póki co jadę busem, niebo gwiazdziste nade mną, a dziury w asfalcie i koleiny pode mną, a jedna pani drugiej pani opowiada, że TIR wypadł z drogi, a człowiek się spalił w domu w wiosce obok. Dom był stary, człowiek był stary i samotny, zwęglone życie, zwęglone miejsca. Na szczęście w busie gra Zetka i chwila zasłuchania w plastikową melodię odpędza myśli o zwęglonym skrawku świata i staruszką, który może zadusił się czadem, a może wcześniej ogień objął jego ciało i mężczyzna po raz ostatni w życiu nie był w nocy samotny. A jedna pani drugiej pani opowiada jeszcze, że ksiądz mówił, żeby młodzi chodzili na kursy przedślubne, bo później i tak pewnie wyjadą za granicę i będzie z tym kłopot.

Bus staje. Widać kiosk. W kiosku ta sama kolorowa prasa, co w mieście, tygodniki w większości te same, jedynie słuszne, liberalne lub konserwatywno-liberalne, papierosy, kosmetyki, słodczyce, prezerwatywy, napoje te same, a w busie informacje w Zetce te same, co i w mieście. Gdyby pójść do okolicznego

spożywczaka, to byłaby w nim ta sama wędlina, co w mieście, a czasem nawet gorsza, najtańsza. I chleb ze spulchniaczami, też taki jak w mieście. A jak sklep i kiosk, to cywilizacja, a jak cywilizacja, to śmieci walające się obok pełnego kosza, stojącego przy wiacie autobusowej. Bo wieś to też śmieci, takie same jak w mieście, tyle że czasem nawet bardziej rzucają się w oczy, gdy wiatr rozwiewa je po polu, rowie melioracyjnym, poboczach. Polska ziemia nie takie rzeczy przyjmowała. Nie wiem, jak patriotyczni publicyści łączą swoją okołoprowincjonalną mitomanię z tym syfem powszednim.

Bus rusza. Jeśli jadę popołudniu, w środku jest więcej młodzieży, ludzi w średnim wieku. A późnym wieczorem bus, który zatrzymuje się na Placu Centralnym, skręca jeszcze pod Hutę im. Sendzimira, gdzie wsiadają, mówiąc umownie, proletariusze, złączeni pod wiatą przystanku autobusowego, zmęczeni, senni, lekko apatyczni. Jest po 22.00, za pół godziny, godzinę będą w domu, a tam już kolacja, albo kolacja plus wszystkie nasze dzienne sprawy, albo kolacja plus wszystkie nasze dzienne sprawy plus telewizor, albo jeszcze co innego, smutki i radości, które są ich tajemnicą.

Późnym wieczorem w busie rządzą sen i księżyc, jeśli nie ma chmur. A jeśli są ciężkie obłoki, właściwie rządzi ciemność, polska prowincjonalna droga to przecież nie Stadion Narodowy, ba, polska prowincjonalna droga to także nie „Polska w budowie”, to po prostu skrawek lepiej lub gorzej połatanego asfaltu, na którego solidny remont nie ma pieniędzy. Zresztą, niektóre gminy dla oszczędności wyłączają po północy latarnie, a wtedy cywilizacja chowa się w ciemności przed naturą, co sprzyja romantyczności i patrzeniu na miesiączek nasz śliczny, wzniosłe konstelacje gwiazdne, a ze względu na walory estetyczne, skłaniające do głębokich refleksji etycznych, a może i doznań metafizycznych – zdecydowanie wzmaga uroki wiejskiego życia.

Jeśli ktoś jednak nie potrafi się skupić na tych urokach, jeśli nie ma dopłat z Unii, jeśli od księżyca woli dobry

telewizor czy po prostu pewną pracę i dobrą płacę, dobrobyt w domu, albo sąsiedzką zazdrość, to wyjeżdża zagranicę z tej wsi polskiej urokliwej, gdzie roboty często nie ma, albo jest kiepsko płatna, bez umowy i za pocałowaniem w rękę, i wysiada z busa na przystanku „praca zagranicą” i tyle go widzieli: ojczyzna, miesiáczek, a czasem teŹ rodzina.

Bus staje. Na rynku w małej miejscowości otwarty sklep spoŹywczy, sieciówka taka jak w mieście. Rynek jest ładny, okolica górzysta, oddycham rześkim powietrzem, patrzę na plecy przygarbionej kobiety, drepczącej kilka kroków przede mną i mamroczącej do siebie najświętsze słowa swojego Źycia i naprawdę nie jest mi wszystko jedno. Obok przystanku tli się niedogaszony pet, ogieniek świeci nawet jaśniej niż lekko przyblakły księżyc, oswojony z wędrówką, którą znam jeszcze z dzieciństwa i może oglądał ją będę na starość.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)